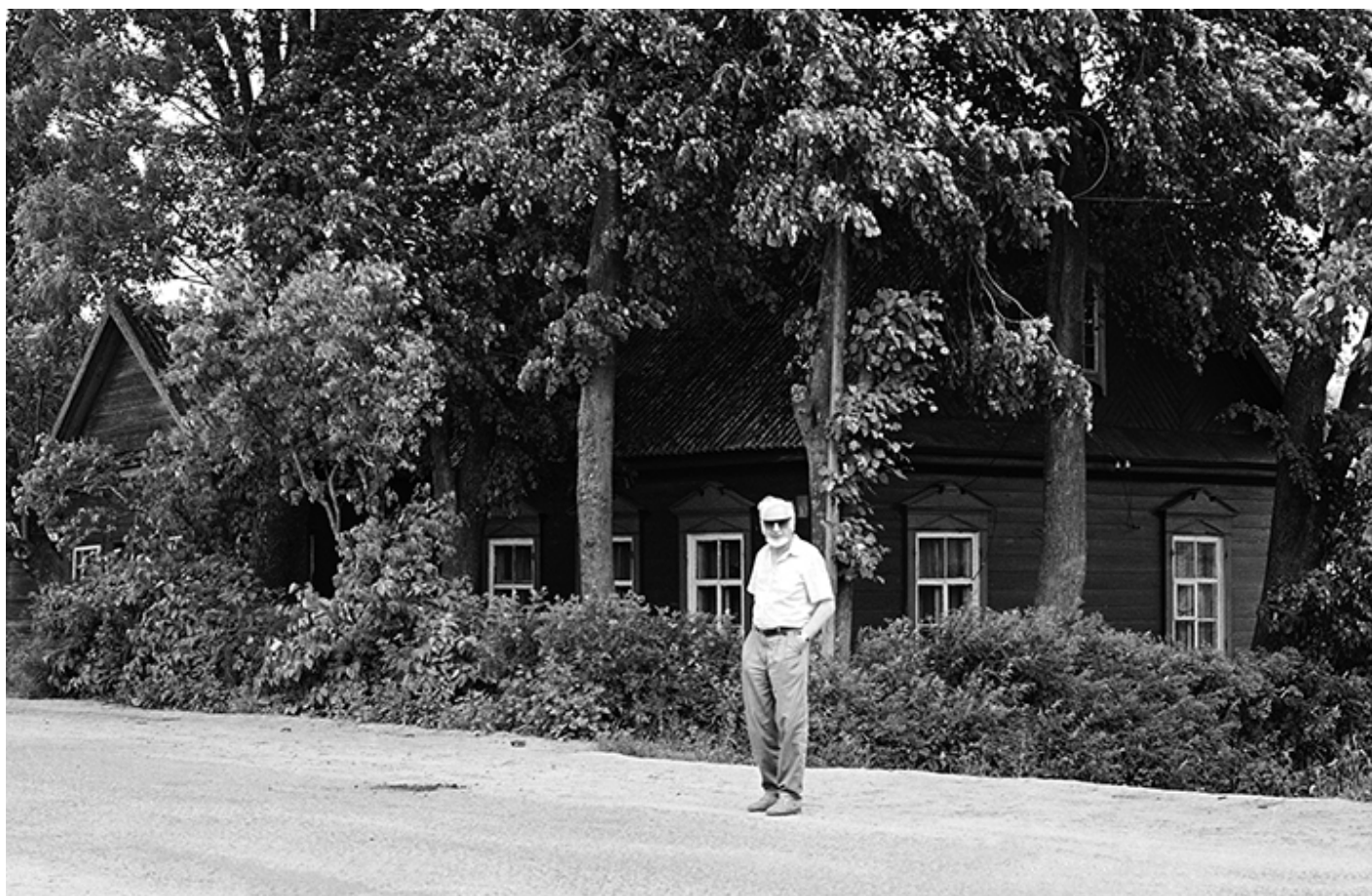
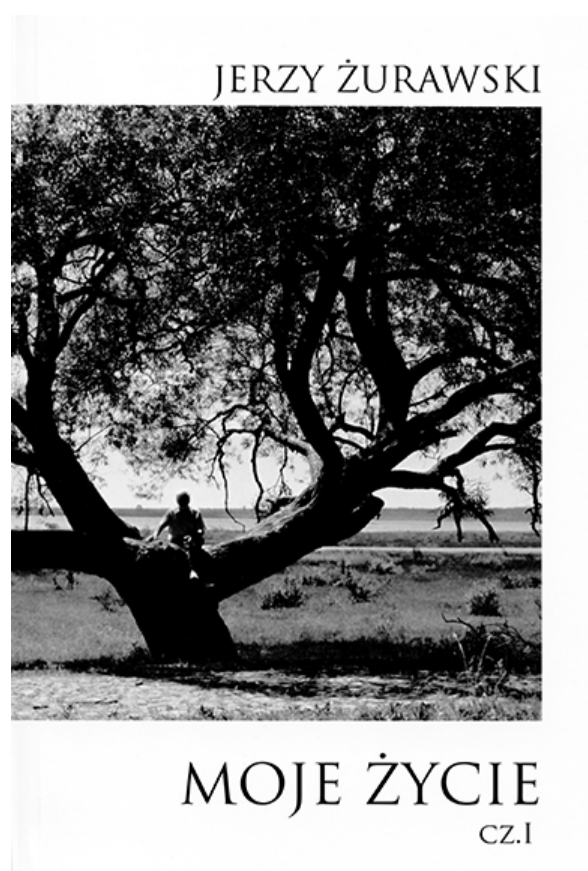


Brasław we wspomnieniach Jerzego Żurawskiego



Jerzy Żurawski na tle rodzinnego domu w Słobódce, koło
Brasławia, fot. Wrzesław Żurawski, 1994 r.

Jerzy Żurawski urodzony w 1930 roku w Brańszewie na Wileńszczyźnie. Ewakuowany w 1945 roku do Polski Ludowej. Ukończył studia historii sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w 1956 roku. W latach 1958-1963 pracował w urzędach konserwatorskich w Olsztynie i Rzeszowie. W latach 1963-1972 był starszym kustoszem i wicedyrektorem Muzeum-Zamku w Łańcutach. Od 1972 roku pełnił funkcję konserwatora zabytków na Powiat Puławski (Kazimierz, Nałęczów, Puławy) do 1993 roku będąc jednocześnie dyrektorem Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym do 2000 roku. Członek Polskiego Komitetu Narodowego ICOMOS od 1972 roku. Honorowy Obywatel Janowca i Kazimierza Dolnego.



*

Książka Jerzego Żurawskiego „Moje życie” jest jednym w wielu świadectw losu Kresowian. Autor, przez wiele lat po wojnie, miał w dowodzie osobistym podane miejsce urodzenia Braśław – ZSRR. A jednak urodził się w Braśławiu w wolnej Polsce. O tamtą ziemię, o wolną Ojczyznę, walczył Jego Ojciec i wcześniejsze pokolenia Rodziny. Niestety porządek, który zapanował w Europie po II wojnie światowej zmusił większość Polaków do opuszczenia ukochanej ziemi. Świadcami pozostały do dziś domy i groby.

*

*

*

Jerzy Żurawski: MOJE ŻYCIE, cz. 1, Łańcut 2022, fragmenty

*

ZIEMIA OJCZYSTA

Miałem szczęście, urodziłem się na etnicznej Białorusi

wchodzącej wówczas w skład Państwa Polskiego, w przepięknej krainie Pojezierza Brasławskiego, gdzie jak okiem sięgnąć, łagodne wzniesienia, piaszczyste wydmy, sosny i brzozy, no i jeziora, jeziora. Gdy się patrzy na mapę tego rejonu, to wydaje się, że wody jezior zajmują więcej powierzchni, aniżeli ziemia pomiędzy nimi. Moje miasto rodzinne Brasław, rozciągnięte jest wzdłuż północnego brzegu największego z tych jezior, Drywiaty. Otaczają jeszcze Brasław od północy Cno, Nieśpisz, Bereże, i maleńkie Świecco. Kilka kilometrów dalej, na północy, rozpoczyna się płatanina przepięknych, wielkich jezior, poprzecinanych półwyspami, usianych wysepkami i połączonych cieśninami. To Strusto i Snudy, Wołoso, Niedrowo i Pociech. Nad tym ostatnim leży Słobódka, rodzinna miejscinka mojego Ojca. Wszystko to kraina mojego dzieciństwa, piękna, ukochana, niezapomniana. (...)

BRASŁAW

W 1927 r. (2 kwietnia) Ojciec wydzierżawił od Mikołaja Pietraszkiewicza „działkę położoną we wsi Zanowiackie Gumna na okres 36 lat za kwotę 200 rubli w złocie” (nieruchomość ta znalazła się wkrótce w administracyjnych granicach miasta Brasławia). 30 maja 1928 roku otrzymał pozwolenie na budowę domu. W rok później dom został ukończony, a powiększoną działkę do 2368 m² Ojciec ostatecznie zakupił na własność od tegoż Mikołaja Pietraszkiewicza. W roku 1932 Ojciec wzniósł za domem budynek gospodarczy, który rozbudował w 1938 roku.

Dom został oszalowany i pomalowany na kolor szaro-niebieski w roku 1937. Opaski okien pomalowano na białą. Ze ścianami pięknie komponował się kolor różowej dachówki, stanowiącej pokrycie domu. Narożny podcień zwany przez nas werandą, porastał gruby kożuch dzikiego wina. Dom nasz był jednym z najładniejszych w Braśławiu. Bardzo lubiłem na niego patrzeć. Podobał mi się, kochałem go i do dzisiaj kocham. W nim się urodziłem 26 lipca 1930 roku, w środę, o godzinie 3 w nocy, w czasie trwającej burzy z piorunami. Okoliczność ta, okazało się, wcale nie zwiastowała mi burzliwego życia, ani wojskowej kariery.

Do tego wszystkiego w roku 1933 Ojciec wydzierżawił od Anny Pietraszkiewicz, a następnie zakupił, dwuhektarową działkę, położoną przy zachodnim brzegu jeziora Świecco. Założył na niej łąkę i pastwisko dla naszej krowy z bezpośrednim dostępem do wody. Łąka była ogrodzona, nawożona i utrzymywana zgodnie z nowoczesną kulturą upraw łąkowych. Gdy w roku 1988 po raz pierwszy po wojnie przyjechałem do Braśławia i poszedłem na „naszą” łąkę, zobaczyłem dwuhektarowy kwadrat trawiastej przestrzeni odróżniający się wyraźnie od łąk sąsiednich. Od naszego domu łąka odległa była o 2 km. (...)

A ja tak tę część krajobrazu podbraśławskiego lubiłem i podziwiałem! Ilekroć wchodziłem na garb terenu, stawałem w zachwycie nad pięknem jeziora Bereże. Unosiły się nad nim

zawsze chmary dzikiego ptactwa. Jezioro żyło. Dzisiejsi młodzi brasławianie nie mają pojęcia jak tamte strony bogate były w ptactwo wszelkiego rodzaju i gatunku. Ojciec kochał ptaki, pokazywał mi je, mówił o ich zwyczajach na licznych spacerach. Wczesną wiosną lubił chodzić w pole posłuchać skowronków. Nauczył mnie wyszukiwania ich na tle nieba i odnajdywania ich gniazd uwitych na ziemi. Nad jeziorami unosiły się całe gromady ptactwa wodnego: mewy w kilku odmianach, białe czajki z prostymi zakończonymi na czarno skrzydłami, łabędzie, kaczki, żurawie, perkozy. Stada wron natomiast, krążące nad cmentarzem żydowskim i krzyżące godzinami były ptactwem nieco uciążliwym. Na błotach, zawsze na naszym „błotku”, kroczyło po kilka bocianów. Zimą przyglądałem się z okna jadalni gilotom żerującym na bzach. Powietrze było krystalicznie czyste. Szalały w nim motyle, ważki, no i komary oraz muchy. (...)

Jak już wspomniałem, dom nasz był jednym z ładniejszych w Brasławiu, a już na pewno w tej części miasta, przekształcającej się ze wsi Zanowiackie Gumna w dzielnicę urzędniczą. Usytuowany na rogu dwóch ulic: 3 Maja i Cmentarnej (obecnie Sovietskaja i 1 Maja). Działka położona była na niewielkim wyniesieniu w stosunku do obydwu ulic tak, że od ul. Cmentarnej różnicę poziomów pokonywało się po kilku schodkach. Od bramki dochodziło się ścieżką pomiędzy trawnikami do narożnego podcienia zwanego przez nas werandą. Tu było główne wejście do domu (drzwi dwuskrzydłowe). Za nim

przedpokój, z niego na prawo wejście do saloniku, a na wprost do tzw. pokoju Babci. Dom był dwutraktowy.



Widok Brasławia z za jeziora Nowiato, po lewej kościół, w głębi cerkiew, po prawej Góra Zamkowa, fot. sprzed 1939 r.

W traktcie frontowym mieścił się wspomniany przedpokój, salonik i sypialnia. W traktcie ogrodowym, zachodnim: pokój babci, jadalnia, kuchnia, za nią spiżarnia ze schodkami na strych i sionka prowadząca na podwórze. Obok sionki, w narożniku północno-zachodnim, małe pomieszczenie na ustęp. Z sionki kilkoma drewnianymi stopniami schodziło się na podwórze gospodarcze i do dużego ogrodu warzywnego, w którym rosły także drzewa owocowe oraz krzaki porzeczek i agrestu. (...)

Wracając do domu: w dwutraktowym układzie wszystkie cztery pokoje i kuchnia były połączone drzwiami, z tym, że drzwi w saloniku (wszystkie trzy) były dwuskrzydłowe, filunkowe, co im dawało bardziej paradny wygląd. Pokoje były wysokie (3 m), ściany pomalowane na jasny ugier, we wszystkich pokojach jednakowo. Podłoga w saloniku była pomalowana farbą olejną na ciemną czerwień, w pozostałych pomieszczeniach na kolor żółty. Drzwi i okna białe, otwierane na zewnątrz. (...)

WIECZORY W DOMU

Pamiętam przedwojenne i wojenne wieczory przy stole. Babcia i Mama robiły jakieś robótki ręczne, cerowanie, łatanie itp. albo tak jak pozostali, czytały książki. Przed wojną książki pożyczano się w bibliotece samorządowej, która mieściła się w budynku „Rolnika” przy ul. Piłsudskiego, dzisiaj jest tam hotel (mniej więcej naprzeciwko cerkwi). Dla mnie też pożyczano jakieś bajeczki kolorowe, których raczej sam nie czytałem, czytano mi je na głos. W czasie wojny książki pożyczano sobie nawzajem. Nigdy ich nie brakowało, chyba po likwidacji biblioteki rozeszły się po domach. Wówczas to zacząłem sam czytać, często zachęcany przez Ryśka Andrzejewskiego, który był moim książkowym, tak, jak Inka. A więc Kraszewski, Sienkiewicz, Verne, a także powieści sensacyjne amerykańskie o okrutnych Indianach i białych broniących swych ognisk domowych i rodzin.

Bardzo często w takie wieczory grano w karty, warcaby, w jakieś

głupie planszowe gry, niestety nie w szachy, a także opowiadano różne zdarzenia z własnego życia i zdarzenia przeżyte przez innych. Babcia opowiadała dużo o Kamieńcu Podolskim (to w związku z „Panem Wołodyjowskim”). My, dzieci, dowiedzieliśmy się wówczas wiele szczegółów z życia rodziny Uniatyckich, w tym o rewolucji, Rosji carskiej sprzed rewolucji, ucieczce najpierw dziadka, a później babci z naszą Mamą i wujkiem Staszkiem. Opowiadania ilustrowała zachowanym albumem i kilkunastoma pocztówkami ukazującymi Kamieniec i jego twierdzą.

Zimowe wieczory były także wykorzystywane przez Babcię do wpajania nam dzieciom dobrych manier towarzyskich. Babcia była damą z wychowaniem dworskim, dziewiętnastowiecznym. Jej poglądy na zachowania już w okresie przedwojennym i wojennym były nieco przestarzałe. Ale w życiu przydały mi się bardzo. Lepiej wszakże być wychowanym przesadnie dobrze, aniżeli niedostatecznie. Wiele więc w tym względzie zawdzięczam Babci. Mama, a szczególnie Ojciec mniej uwagi przywiązywali do kindersztuby. (...)



Brasław, dom Żurawskich, fot. Michał Żurawski, 2015 r.

PIANINO

Z pianinem emocji było wiele, bo instrumentów tych w Brasławiu było mało i posiadanie pianina świadczyło o statusie społecznym nabywcy. Z Inki koleżanek tylko jedna, Baśka Warzecha posiadała w domu pianino i w domu uczyła się grać. Teraz do tej „elity” miała dołączyć rodzina Żurawskich z Inką na czele. Ojciec pojechał w tym celu do Wilna. Nie będąc muzykiem wybrał w firmie H. Abelow (ul. Nienużecka 22) pianino marki F.G. Irmeler. Zapłacił za nie w dwóch ratach 1050 zł. Był to już rok 1937. Po kilku dniach pianino przyjechało pociągiem na stację w Brasławiu. Dobrze pamiętam stan podniecenia całej rodziny w oczekiwaniu na instrument. Pamiętam też, że na stację pojechałem razem z Ojcem i byłem świadkiem załadunku na furmankę wielkiej skrzyni, którą z obydwu stron podtrzymywali

wynajęci robotnicy. Zdjęcie skrzyni z wozu i wtaszczenie jej do saloniku nie odbyło się też bez nerwów: żeby broń boże nie wysunęła się z rąk dźwigających. Pianino pozostawiono w skrzyni do dnia następnego, gdyż tak zalecił sprzedawca; chodziło o aklimatyzację instrumentu do nowych warunków.

Wiść o zakupie przez Żurawskich pianina rozeszła się wnet po miasteczku. Pierwszym zaciekawionym, który przyszedł, był miejscowy organista, który niedaleko nas mieszkał, przy „błotku”. Przy nim pianino wypakowywano ze skrzyni i on pierwszy zaczął na nim grać. Okazało się, że Ojciec nabył doskonały instrument, który chwalili później również zawodowi artyści pianiści. Architekturę posiadało eklektyczną: po bokach po jednej kanelowanej kolumnie z kapitelem, z przodu trzy ramki, z których środkowa podłużna, a boczne kwadratowe. W nich dekoracje groteskowe: wici roślinne i ptaszki wykonane reliefem wklęsłym. Poza tym mnóstwo gzymsów, na wnętrzu klapy złożony napis „f.g. Irmeler”, a u dołu mniejszą kursywą: „Leipzig”. Inka zaczęła pobierać naukę gry w domu. Najpierw przychodził wspomniany organista, a później panna Niuta Kantor.

SZKOŁA

W 1936 roku, w wieku sześciu lat skończonych w lipcu posłano mnie do szkoły powszechnej. Właśnie wybudowano nowy budynek szkoły i w tymże roku oddano go do użytku. Do szkoły

miałem bardzo blisko, najwyżej 10 minut wolnym krokiem. Wybudowano ją pomiędzy starostwem, a cmentarzami i wspomnianym już po wielokroć „Błotkiem”. Był to duży budynek, wzniesiony z drewna, nieotynkowany, w kształcie klasycystycznego dworu, czy pałacu. Od frontu posiadał portyk kolumnowy (kolumny też z drewna) w wielkim porządku osłaniający dużą facjatę, w której mieściło się mieszkanie kierownika, pana Mickiewicza z rodziną.

Pamiętam dzień, gdy mnie Mama przyprowadziła do szkoły, strach jaki mnie wówczas ogarnął i pamiętam, że mój kolega Ignasz Rudomino ryczał w niebogłose, gdy go matka zostawiła w szkole. Być może to spowodowało, że strach opanowałem i nie rozpłakałem się. Kojąco na nas musiała wpłynąć pani Halina Heppelowa, wychowawczyni pierwszej klasy, znakomita pedagog, za którą dzieciaki przepadały i ją kochały. Niestety, po wkroczeniu bolszewików, jako żonę policjanta, wywieziono ją na Sybir pierwszym transportem.

Chyba przedwczesne było posyłanie mnie w wieku sześciu lat do szkoły. Otaczali mnie chłopcy co najmniej o rok starsi, a że w klasie musi się znaleźć zawsze ofiara do bicia – taka rola na razie mnie przypadła. Byłem dzieckiem wrażliwym, z inteligenckiego domu, przemoc była dla mnie zjawiskiem nowym i obcym. A koleżków miewałem spod ciemnej gwiazdy. Jakoś złożyło się tak, że zaprzyjaźniłem się z Bronkiem Kołkowskim. Zresztą sąsiadem

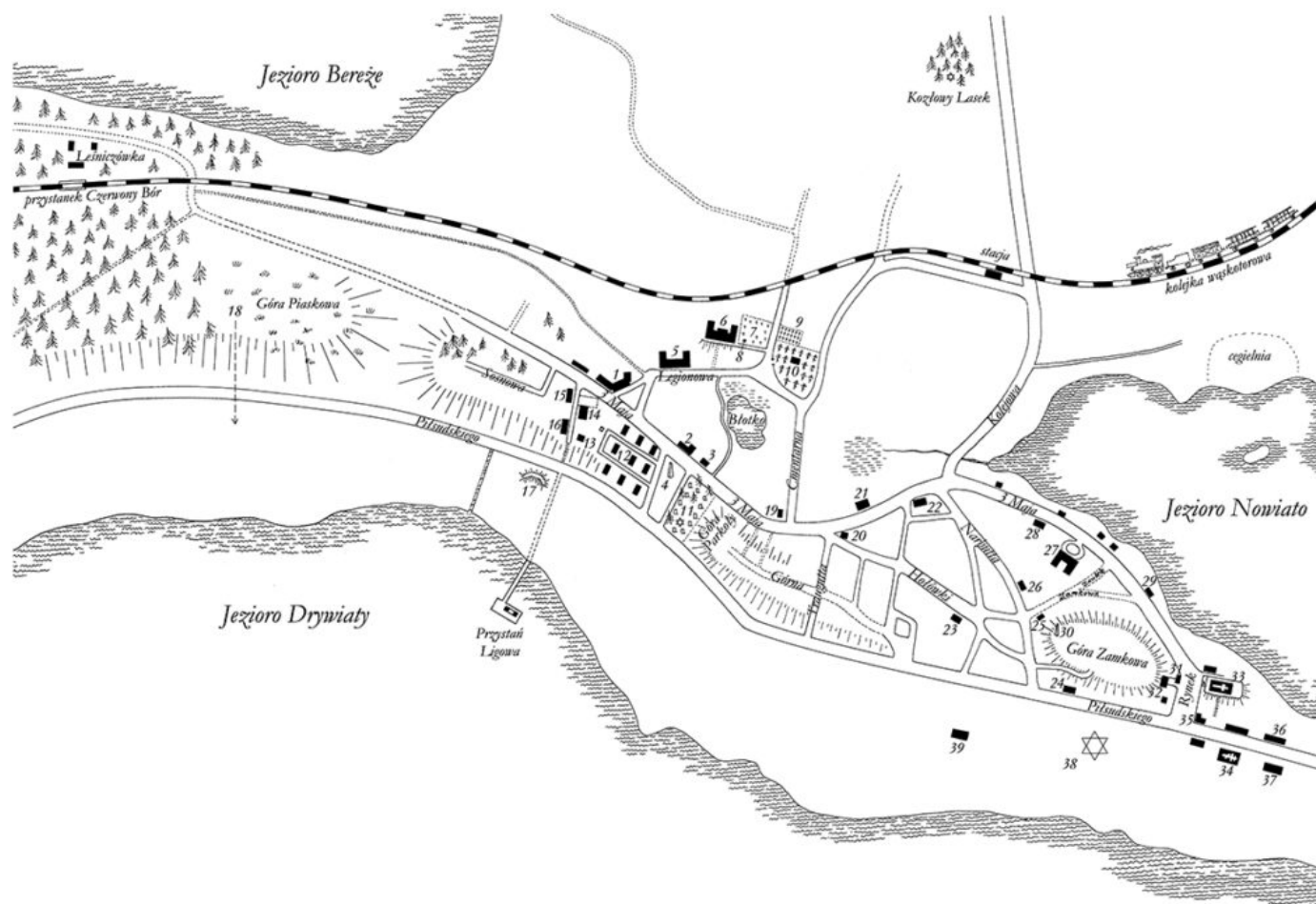
z ul. Cmentarnej, starszym ode mnie o dwa lata, osiłkiem i chuliganem co się zowie. Natychmiast nabrano do mnie respektu, a raczej respektu do Bronka, który w mojej obronie podbił paru równym sobie nosy.

Co do moich osiągnięć w nauce niczego nie mogę powiedzieć, poza tym, że przynosiłem świadectwa z ogólnym b. dobrym, oczywiście niezasłużonym, Do klasy trzeciej, ukończonej w 1939 roku nie potrafiłem dobrze czytać, ani pisać. A do książek miałem ugruntowany wstręt.

Inka natomiast uczyła się doskonale, a książki czytała namiętnie, chowając się przede mną gdzieś w krzakach ogrodu lub na drzewach (a jakże, i Ciocia Inka łąziła kiedyś po drzewach). Miała liczne koleżanki, z którymi starała się odczepić od utrapionego młodszego braciszka, przeszkadzającego w ich dziewczęcych zabawach. Bywało jednak, ale to już chyba w czasie wojny, że wspólnie graliśmy w dwa ognie na ul. Cmentarnej przed naszym domem do upadłego (ulica nie była jeszcze wybrukowana, wybrukowali ją dopiero Niemcy). Mieliliśmy piłkę skórzaną do siatkówki (rzadkość wśród okolicznych koleżanek i kolegów), toteż urządziliśmy boisko do siatkówki po północnej stronie domu. Graliśmy godzinami.

*

SPIS OBIEKTÓW NA PLANIE BRASŁAWIA WYKONANYM PRZEZ WRZESŁAWA ŻURAWSKIEGO W 1995 ROKU WEDŁUG WSPOMNIENIŃ OJCA JERZEGO ŻURAWSKIEGO I INNYCH BRASŁAWIAN



Plan dokumentuje miasto około roku 1939

1. Starostwo Powiatowe
2. Sejmik Powiatowy
3. Bank
4. Pomnik Józefa Piłsudskiego
5. Szkoła Powszechna
6. Gimnazjum

7. Cmentarz rzymskokatolicki
8. Grób Wincentego Uniatyckiego i Antoniego Żurawskiego
9. Cmentarz żołnierzy polskich z pierwszej wojny światowej
10. Cmentarz prawosławny
11. Cmentarz żydowski
12. Kolonia Urzędnicza
13. Willa starosty
14. Dom Sportowy
15. Policja, za Niemców żandarmeria
16. W czasie wojny N.K.W.D. i areszt
17. Strzelnica sportowa
18. Miejsce startu szybowców
19. Dom Żurawskich
20. Dom Magata
21. Dom Romanisa
22. Hotel Bałdów
23. Poczta
24. Urząd Skarbowy
25. Bożnica i szkoła żydowska
26. Ośrodek Zdrowia
27. Szpital
28. PKO
29. Kasyno Urzędnicze
30. Pomnik dra Narbutta

- 31. Apteka sejmikowa
- 32. Straż pożarna
- 33. Kościół katolicki
- 34. Cerkiew prawosławna
- 35. Apteka Kurczewskich
- 36. Sklep „Społem” – Rolnik
- 37. Urząd Gminy
- 38. Synagogi, mykwy, szkoły żydowskie
- 39. Elektrownia

*

Zobacz też:

Film Zofii Żurawskiej o Jerzym Żurawskim, nakręcony w
Brasławiu w 2015 r., pt. „Dziadek”:

*

Nagranie ze spotkania z Jerzym Żurawskim podczas Festiwalu
Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym, w sierpniu 2022 r.

“Dzień znów wstaje
słońcem...” – czyli
tajemnicza Vyska
o swoim najnowszym
projekcie muzycznym



Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz (*Wielka Brytania*)

Vyska, pod tym właśnie pseudonimem kryje się Paulina Wysoczańska, która od dziecka brała udział w różnych festiwalach, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Miała też przygodę z folklorem. Później, jako wokalistka *Deja Vue*, nagrała singiel pt. *Już nie słyszę Twoich słów*. Była także uczestnikiem *Metro* w Wieluniu pod okiem Pani Zofii Szpikowskiej.

Paulina uczestniczyła w wielu projektach muzycznych m.in. *Positiv Virus* razem z Robertem Madziarzem – Jej obecnym producentem, człowiekiem z ogromnym talentem i pasją. Ich muzyczne drogi przeplatały się już od wielu, wielu lat. Wspólne nagrania, gościnne koncerty, program *Mam Talent*. Życie niestety nie zawsze układa się tak, jak sobie zaplanujemy i tak, jakbyśmy tego chcieli. Oboje mówią, że dziś przyszedł jednak czas na spełnienie marzeń, czego efektem są wydane już dwa single, zapowiadające debiutancką płytę Artystki, nad którą Vyska pracuje wraz z Robertem w *Sound Travel Studio*.

*

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz:

Kiedy w Twoim życiu pojawiła się muzyka?

Paulina Wysoczańska:

Myślę, że towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kiedy byłam małą dziewczynką, wygrywałam konkursy w przedszkolu i szkole. Otrzymując też tytuł wieluńskiej małej miss lata '96 i miss Ziemi Sieradzkiej '97, stałam się rozpoznawalna lokalnie, co oczywiście jest ważne, kiedy chce się docierać do szerszej publiczności ze swoją muzyką (uśmiech!). Jako nastolatka występowałam też z folklorystyczną kapelą ludową pod okiem śp. Marka Dery,

który przez wiele lat był moim muzycznym opiekunem.

Później byłam wokalistką zespołu *Deja Vue* z Wielunia i w weekendy śpiewałam na imprezach okolicznościowych. W ostatnich latach brałam (wraz z Robertem Madziarzem) udział w projekcie *PositiveVirus*, a także próbowałam swoich sił w programach: *Mam talent* i *Szansa na sukces*. Uczęszczałam także przez jakiś czas do Studia Piosenki Metro w Wieluniu, gdzie kształciłam się pod okiem pani Zofii Szpikowskiej.

Życie jednak nie zawsze pisze takie scenariusze, jakie byśmy chcieli i moja droga muzyczna była bardzo wyboista, ale w końcu nadszedł czas by spełniać swoje marzenia i tak właśnie powstała Vyska – długo wyczekiwany, wymarzony przeze mnie projekt. Czy się spodoba? Mam taką nadzieję.(uśmiech!).

Jesteś wokalistką, ale grasz także na gitarze.

Głównym moim instrumentem jest oczywiście aparat głosowy (śmiech!). Gram amatorsko na gitarze – w dużej mierze jestem samoukiem, choć za młodych lat uczęszczałam do szkoły muzycznej, gdzie głównym instrumentem była właśnie gitara, jednak gra klasyczna to nie mój klimat. Chciałabym zacząć grać na pianinie – jest to moje marzenie, ale nie wiem czy ilość codziennych obowiązków pozwoli mi na jego realizację. No i jeszcze podobno świetnie gram na nerwach, ale to już

nie mnie oceniać! (śmiech!)

Jaki gatunek muzyczny uprawiasz?

Jest to szeroko pojęty pop z elementami R&B, House, Trance-electro. Nie chciałabym się jednak ograniczać, musi coś po prostu zaiskrzyć. Płyta, nad którą pracujemy, będzie „kolorowa” (uśmiech!).



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek



Paulina Wysoczańska, fot. Michał Dudek

*

Jakie znaczenie mają dla Ciebie teksty piosenek, które wykonujesz?

Ogromne! Muszą odzwierciedlać moje uczucia, których doświadczam lub doświadczyłam, a także moją naturę – spójne ze mną, ale także uniwersalne, czyli dotyczyć życia innych

osób. Chciałabym jednocześnie zaznaczyć, że nie jest tak, iż z piosenek można wyczytać mój życiorys. Tego się nie doszukujcie (śmiech!). Aż tak otwarta nie jestem, żebyśmy się dobrze zrozumiały (śmiech!).

Współpracujesz obecnie z Robertem Madziarzem nad swoją debiutancką płytą. Jak nawiązała się Wasza współpraca?

Nasze drogi z Robertem przeplatają się od wielu, wielu lat. Jest on autorem i kompozytorem piosenki, którą nagrałam w roku 2006, będąc wokalistką *Deja Vue*. Wtedy go poznałam. Piosenka nosiła tytuł „Już nie słyszę Twoich słów”. Cudowne wspomnienie.

Niestety drogi *Deja Vue* i Roberta rozeszły się, ale my spotkaliśmy się ponownie po latach, kiedy poprosiłam go o nagranie coveru. Wtedy też padł pomysł, żeby coś stworzyć. I tu znowu życie napisało inny scenariusz. Takich rozstań i powrotów było kilka, widocznie to nie był ten czas. W końcu te kręte drogi złączyły się i mam nadzieję, że tak już zostanie... I dziś nie chcę zastanawiać się, co będzie kiedyś. Dla mnie ważne jest “tu i teraz”. Ktoś mi kiedyś powiedział: „Paula, w historii już nic nie zmienisz, jutra nie znasz, możesz nie doczekać, dlatego ciesz się każdym dniem, jakby miał być Twoim ostatnim – spełniaj marzenia”. Dziś właśnie to robię. Robertowi dziękuję, gdyż to dzięki niemu mam taką możliwość.

On jest nieoderwalną częścią tego projektu. Cudowny człowiek, niesamowicie uzdolniony gitarzysta, kompozytor, producent i przyjaciel – po prostu Magik. My pracujemy, a wszechświat niech nam sprzyja, skoro połączył nasze muzyczne drogi(uśmiech!).

Twój debiutancki singiel odnosi sukcesy na listach przebojów. Z pewnością cieszy Cię taki odbiór?

Oczywiście. Miło jest, kiedy ktoś docenia to, co robisz, tym bardziej, że wkładam całe serce, całą siebie w ten projekt. Cieszy mnie, że piosenka się podoba. Mam nadzieję, iż kolejne utwory również przypadną do gustu.

Niedawno nakręciłaś teledysk do kolejnego utworu. Za Tobą premiera. Tak się składa, że jestem autorką tekstu i w tym miejscu Tobie i Robertowi bardzo dziękuję za zaproszenie do Waszego projektu.

Tak, rzeczywiście pod koniec września nakręciliśmy teledysk do piosenki „Odejść z wiatrem”, do której napisałaś słowa. Bardzo za nie dziękuję. Piosenka jest trafiona w stu procentach(uśmiech!). To mój pierwszy teledysk, więc nie ukrywam, że się stresuję, tym bardziej, iż jakoś nigdy nie lubiłam siebie w obiektywie. Zawsze musi być ten pierwszy raz(śmiech!). Jeśli chodzi o premierę, to odbyła się 06.10.2022, serdecznie

zapraszam Państwa do obejrzenia i posłuchania. Mam nadzieję, że się spodoba.

Plany koncertowe?

Oczywiście są, jednak projekt zaczęliśmy realizować tak naprawdę już po sezonie koncertowym (plenerowym) i jednocześnie jesteśmy w trakcie przygotowań materiału na płytę, więc wszystko przed nami.

Grywamy również akustycznie, łącząc nasze piosenki z coverami, dzięki czemu możemy już teraz promować materiał z nadchodzącej płyty i oczywiście obserwować, jak publiczność reaguje na nasz autorski materiał prezentowany tylko z gitarą. Niewątpliwie tego typu granie ma swój urok, gdyż wychodzi wtedy na wierzch cała prawda o piosence. Daje nam to możliwość grania różnych koncertów w pubach, klubach i innych ciekawych miejscach, gdzie tego typu skład idealnie się sprawdza. Warto dodać, że na płycie aranże są bogate w instrumenty, zatem tych akustycznych wersji live można posłuchać właśnie tylko na naszych recitalach, a mamy ich trochę do zagrania w najbliższym czasie, co też świetnie połączyło się z premierą nowego singla pt. „Odejdę z wiatrem”.

Tuż po premierze singla, będzie nas można zobaczyć i usłyszeć na żywo podczas dwóch koncertów akustycznych.



Paulina Wysoczańska i Robert Madziarz, fot. Michał Dudek

A Twoje muzyczne marzenia?

Moim największym marzeniem jest robić to, co kocham, czyli śpiewać. Jeśli odbiorcom moja muzyka przyniesie radość, będzie pięknie. Chciałabym wrócić na scenę, ale też nagrywać. Pragnę, by coś po mnie zostało i jednocześnie chcę dzielić się swoją pasją. Śpiewając, jestem szczęśliwa i daję szczęście (czy też wzruszenie) innym. To jestem cała ja (uśmiech!).

Gdzie można “poobserwować” Ciebie i Twoje działania artystyczne?

Wszystkie informacje można śledzić na moim funpage na facebooku – Vyska, ale też oczywiście posłuchać i obejrzeć na YouTube. Serdecznie zapraszam!

Ściskam mocno i do usłyszenia! (uśmiech!).

Dziękuję Ci za rozmowę!

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

<https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/>

*

Zobacz też:

Radiowiec z Dublina. Tomasz Wybranowski.

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Paweł Kunigis. Dwadzieścia lat „Balagane”.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*



*

Paweł (Paul) Kunigis – muzyk, piosenkarz, pianista samouk, kilka lat temu udzielił wywiadu dla magazynu „Culture Avenue” opowiadając o swojej karierze muzycznej, jak również o skomplikowanej tożsamości polsko-żydowsko-kanadyjskiej będącej źródłem inspiracji dla jego muzyki i tekstów. Aktualnie artysta pracuje nad publikacją książkową poświęconą płycie „Balagane”- nagranej w 2002 roku z zespołem „Jeszcze raz”. Rok po ukazaniu się płyta otrzymała kanadyjską nagrodę JUNO w kategorii Muzyka Świata, a w 2023 roku minie 20 lat od tego wydarzenia, które pozwoliło Kunigisowi i „Jeszcze raz” rozwinąć muzyczne skrzydła na wielu scenach Kanady, Francji, Polski i

Szwajcarii.

Zespół „Jeszcze raz” znany był od połowy lat 90. w Quebecu ze swoich nastrojowych piosenek, śpiewanych przez Kunigisa po polsku, hebrajsku, arabsku i francusku do porywającej muzyki będącej mieszanką bluesa, klezmer music, rytmów orientalnych Bliskiego Wschodu, jazzu i gospel. To niezwykle połączenie muzyczne porywało publiczność na koncertach, budowało magię muzycznej podróży przez różne kultury i emocje. Już płyta „Pamiętam” była odwołaniem się Pawła Kunigisa do przeżyć osobistych, sięgnęła do tego pamiętnika emocjonalnego, który pisze się w naszej duszy, sercu, myślach. Entuzjastyczne przyjęcie utworów z płyty „Pamiętam”- melancholijnych, nastrojowych piosenek śpiewanych Kanadyjczykom po polsku, pozwoliło Kunigisowi na płycie „Balagane” sięgnąć jeszcze głębiej do zasobów emocji i pamięci.

Miłość do matki, wojna, śmierć, samotność, poszukiwanie tożsamości – to tematyka utworów: Czarna kawa, Mamaleh, Shequette, Yahayouni, Zimbergaya, które stały się przebojami śpiewanymi przez publiczność na koncertach, utworami zaadaptowanymi przez zespoły muzyczne z Norwegii, Danii, Polski. Każdy utwór daje pole do popisu muzykom-wirtuozom skrzypiec, akordeonu, klarnetu, kontrabasu, perkusji. Długie improwizacje muzyczne kształtują nastrój, wyzwalają emocje, w magiczny sposób łączą smutne rytmy z radosnymi. Ta

wirtuozowska muzyka świata dociera do słuchacza o różnorodnych korzeniach kulturowych i porywa każdego kto jej słucha.

Paweł Kunigis po dwudziestu latach chce podsumować swoje lata spędzone z „Balaganem”. Przez lata koncertowania w różnych krajach zebrało się obszerne archiwum recenzji prasowych, zdjęć, listów z podziękowaniami, plakatów. Z tego zbioru ma powstać książka wspomnień opowiadająca o muzykach, o historii powstawania tekstów i muzyki, wspominająca anegdoty z koncertów i spotkania z publicznością. Ważnym dopełnieniem publikacji będą nuty i teksty piosenek, co pozwoli profesjonalistom i amatorom zapoznać się z warsztatem muzyczno-tekstowym Kunigisa.

Paweł (Paul) Kunigis, obywatel świata o polskich korzeniach, swoim życiem i twórczością dowodzi, że wymagająca lekcja samodzielności i zaradności, jaką było jego polsko-izraelskie dzieciństwo i kanadyjskie początki od zera, stały się skarbnicą jego twórczości, z której czerpie siły i inspiracje.

Cadyk Menachem Mendel z Kocka nauczał : „Istnieją trzy sposoby radzenia sobie ze smutkiem – można płakać, można milczeć, można przemienić smutek w pieśń”. Paweł Kunigis wybrał pieśń.

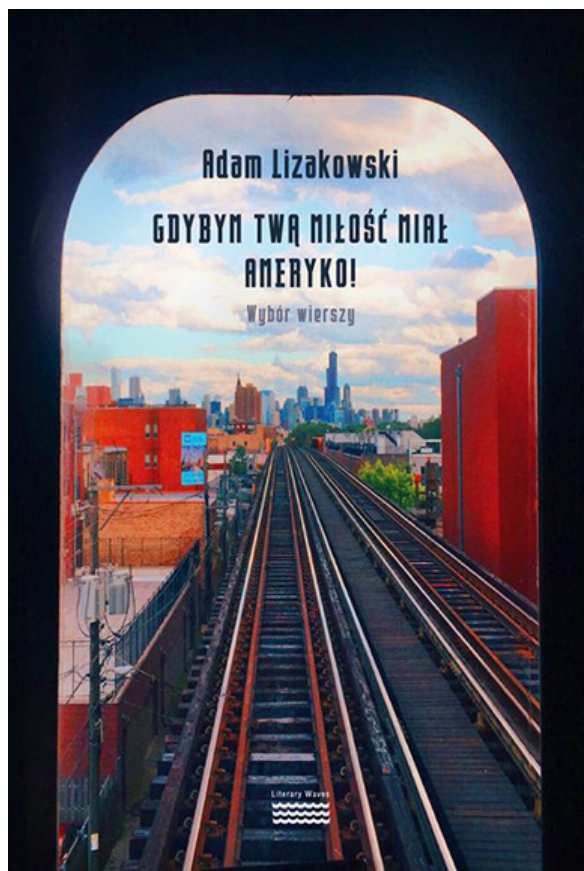


Zobacz też:

Paweł Kunigis. Moje życie to wielki bałagan.

Gdybym twą miłość miał Ameryko!

Pochwała dla wyobraźni czerpiącej „z pnia lipy
czarnoleskiej”



Teresa Tomsia (*Poznań*)

Poeta powinien być psem

który wkłada nos do śmietnika ulicznego

wącha róże w cesarskim ogrodzie

szczeka i wyje do księżyca

nawet jeśli ten nie zwraca

na niego uwagi

(Adam Lizakowski „*Poeta*„).

*

*

Adam Lizakowski pisze o codzienności emigranta w tomiku *Gdybym twą miłość miał Ameryko!* (Literary Waves Publishing, red. Anna Maria Mickiewicz, Londyn 2022) jako krytyczny obserwator rzeczywistości, a jednocześnie uczestnik każdej godziny przetrwania na obczyźnie. Jego spojrzenie jest krytyczne, ukazuje brzydotę i paradoksy losu emigrantów, ale też jest pełne współodczuwania dla ludzkich wyborów, słabości, utraconych nadziei:

Panie spójrz

czy widzisz upadłych aniołów

idą owinięci w brudne koce

stoją w kolejce/ za łykiem gorącej kawy

kęsem chleba.

Na okładce tomiku widnieje cytata z listu Czesława Miłosza do poety: „jednak opłaca się pisać prawdę, czy też starać się pisać prawdę, i to właśnie Pan robi, wbrew przyjętym opiniom, że *poezja* to co innego niż pisanie prawdy”.

Ponad trzydzieści lat poeta żył i działał twórczo w USA, a po powrocie w 2016 roku zamieszkał w Świdnicy, od dekady jego wiersze i wspomnienia pojawiają się też na polskim rynku czytelniczym (*Dziennik pieszycy*, 2016, *Jak zdobyto Dziką Zachód*, 2017). Urodził się w Wigiliu w Dzierżoniowie w 1956 roku. Mieszkał w Pieszycach i pracował w Zakładowym Domu Kultury „Prządka” na stanowisku instruktora teatralnego. W grudniu 1981 roku, gdy w Polsce komuniści wprowadzili stan wojenny, przebywał w Austrii, gdzie otrzymał azyl polityczny w marcu 1982 roku, a w czerwcu zdecydował się na emigrację do USA. Losy emigrantów to jeden z głównych wątków jego twórczości. Tłumaczył poezję Boba Dylana, Williamsa Carlosa Williamsa, Louise Glück, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Walta Whitmana. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Razem” wydawanego w San Francisco oraz wydawcą kwartalnika „Dwa Końce Języka” w Chicago, korespondował z pisarzami na emigracji: Czesławem Miłoszem, Jerzym Giedroyciem, Adamem Zagajewskim, Maciejem Niemcem. Przez

wiele lat publikował w paryskiej „Kulturze” i nowojorskim „Przeglądzie Polskim”, ukazywał realia emigracyjnej egzystencji krytycznie, nie ukrywając własnych i cudzych słabości, motywów postępowania, negatywnych postaw, skomplikowania losów:

Gdybym twą miłość miał Ameryko,

ptaku złotopióry, codziennie o wschodzie

słońca śpiewałbym pieśń ludzi żyjących,

gdybym twe serce czuł gorące,

gdyby twa miłość była mą inspiracją

śpiewałbym tobie i o tobie, Ameryko,

wysoko, wysoko pod sam czubek Sears Tower

byłbym twoją miłością i pachniał dolarem,

przemierzał twe kaniony ulic,

prerie bogatych przedmieść,

wołałbym jesteś jedyna, jak jedno jest życie,

jak jedno stworzenie świata,

jedna Jerozolima, jeden Bóg, jedna Wisła,

gdybym twą miłość miał Ameryko,

gdyby twej miłości najmniejszy blask

na me serce padł, rozgrzał je,

gdybym chociaż raz jeden, jedyny raz

znalazł twe piórko, Ameryko, ptaku złotopióry

(...)

język mój byłby nie mieczem ani piórem,

ale grubym pniem lipy czarnoleskiej,

gdybym twą miłość miał Ameryko!!!

Adam Lizakowski w wielu wierszach zwraca uwagę czytelnika na

problem przemijania w poczuciu bezsensu i na to, jak ważne jest w życiu człowieka odczuwanie czasu oraz świadomość, czemu i komu służy swoim życiem. Autor pyta, jak wielką cenę płacić trzeba za materialny status emigranta, za niespełnienia, niepokoje o przyszłość. Czasem liryczne zamyślenia dają ukojenie, tak jak w *Chicagowskiej kołysance* z 1998 roku, gdy beznadziejną egzystencję – choć na chwilę tylko – przesłania piękno otaczającego świata:



Wody jeziora Michigan kołysankę nucą,

ćwicząc glos na brzegu z kamieniami w ustach

z takim triumfem w głosie,

jakby nikt inny śpiewać nie umiał.

(...)

Noc przechadza się ulicą Fullerton

jak czarna dama we włosy wpięła księżyc złoty

kolia diamentów gwiazdami błyszczy,

biedak co liczył swe zyski nad biedą westchnął

bądź przeklęta godzino

w której otrzymałem paszport.

Poeta pochyla się nad losem emigrantów, którzy swoim trudem co dnia tworzą dobro Ameryki i przyczyniają się do mitu o spełnionym „amerykańskim śnie”. Oddając im głos, przywraca godność zapomnianym imionom, aby wszyscy spotkani na tej drodze życia mogli wypowiedzieć ukrywane żale i oczekiwania. Pojedynczy los to twarda rzeczywistość, praca od świtu do nocy, męka, niepewność jutra i ciągła walka o przetrwanie. Każdy

człowiek, niezależnie od tego, czy przybył tam lata temu, czy wczoraj, pragnie odnowić życie, uciec przed prześladowaniem lub sobą samym, to wędrowiec, który ciągle jest w ruchu, w pragnieniu przemiany.

Niekiedy poeta pozwala sobie na osobiste refleksje, ale nostalgia mocno boli, chwyta za gardło, dlatego w tym zbiorze o „miłości Ameryki” niewiele znajdziemy liryków, więcej jest tu opisów miasta i życia sąsiadów, podobnie żyjących jak on emigrantów. Nostalgiczne wersy są przejmujące, a temat powrotu do ojczyzny rzucony mimowolnie, żeby nie mógł przylgnąć na dłużej, bowiem nostalgia niszczy i zniewala, osłabia siły niezbędne do przetrwania (*Jesienny poranek w Chicago*):

W nocy padał deszcz

był porywisty wiatr

„psa byś nie wygnał w taką pogodę”. [...]

Do tylnej szyby mojego samochodu

przykleiło się kilka liści

roześmianych złotem i purpurą.

Nie mam odwagi zapytać

„a dokąd to się wybieracie?”

Lizakowski dyskretnie przywołuje w wierszach polskie przysłowia, powiedzonka, określenia możliwe do metaforycznego odczytania w kontekście rodzimych klimatów (liście połyskujące „złotem i purpurą” odsyłają nas w domyśle do „złotej polskiej jesieni”). Bohater jego wierszy wie, że musi „grać kogoś, co wszystko rozumie”, przetrwał przecież tyle lat, wchodząc pomału w obcą sobie kulturę, aż nauczył się głębiej rozpoznawać siebie, swoje potrzeby i nadzieje, realnie patrzeć na propozycje i możliwości, wiedzieć, na ile go stać. Nie chce być „grzeczny i uprzejmy” fałszywie (jak ojciec inżyniera, którego syn sprowadził do Ameryki – byłego sekretarza partii w powiatowym mieście – dawniej butny i groźny, dziś aż za bardzo uniżony). Poeta podaje różne przykłady zachowania, rozumiejąc ludzkie wybory, a przede wszystkim przedstawia swoje wartości, jakimi się kieruje:

Moje wiersze to wspaniałe skrzydła

Na których latam ponad miejscami

O których nie mógłbym nawet pomarzyć.

(...)

Moje wiersze są jak moje koszule i krawaty

Barwne i strojne w zależności od okazji

Są garniturami i kapeluszami rejestru bólu i radości

Z nimi czuję się wygodnie gdy piszę o porach roku

W nich w kilku słowach oddaję sens

Swojego życia, one rozpisane na głosy śpiewają

(Adam Lizakowski „*Moje wiersze*„).

Wiersze Adama Lizakowskiego są pochwałą dla wyobraźni
czerpiącej z „grubego pnia lipy czarnoleskiej”, wyobraźni, która
w najtrudniejszym nawet czasie staje się dla człowieka podporą i
ocaleniem.

Recenzja ukazała się w „Recogito”, Paryż, jesień 2022 r.

*

Teresa Tomsia – poetka, eseistka, autorka prozy dokumentalizowanej i szkiców literackich *Niedosyt poznawania* (2018). Publikuje na łamach „Toposu”, „Twórczości”, „Frazy” (cykl: *W pamięci, w odbiciu*). Ostatnio ukazał się wybór jej wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (WBPiCAK, 2021) i tomik *Liryki przedostatnie* (Flos Carmeli 2022). Mieszka w Poznaniu.

*

Zobacz też:

Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Festiwal polskich filmów i sztuka plakatu w Austin. Fotoreportaż.



Margaret Dąbrowska-Meub, prezydent Austin Polish Society,

otwiera 17 Festiwal Polskich Filmów w Austin, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Trzy weekendy wypełnione polską sztuką filmową i plastyczną dobiegły końca. Czeką nas jeszcze jedna projekcja – 27 listopada w Austin Film Society Cinema pokazany zostanie film Witolda Ludwiga „Nędzarz i Madame” opowiadający historię znajomości malarzy Adama Chmielewskiego i Józefa Chełmońskiego z aktorką Heleną Modrzejewską. W filmie znalazły się echa Powstania Styczniowego i działalność księcia Władysława Czartoryskiego w Paryżu, pomagającemu Powstańcom, dlatego film został połączony z rocznicą odzyskania przez Polskę Niepodległości. Historyczne tło z tego okresu nakreśli dr Ewa Siwak z Texas State University, a o znajomości malarzy z Heleną Modrzejewską opowie autorka książki o aktorce Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wernisaż plakatów Leszka Żebrowskiego, zorganizowany przez DotDotDot Connect w AO5 Gallery w Austin okazał się sukcesem. Przyszło wiele osób, w tym konsul Rzeczypospolitej Polskiej z Houston – Robert Rusiecki z żoną. Plakaty powieszone w różnych przestrzeniach Galerii, zachwyciły swoją kolorystyką i wieloznacznością. W tle leciała muzyka, ze znanych polskich filmów. Goście, częstowani dobrym winem i innymi napojami, wyśmienicie się bawili.



Margaret Dąbrowska-Meub (prezydent APS)



Joanna Sokołowska-Gwizdka (wiceprezydent APS)

*

Tak samo sukcesem można nazwać otwarcie festiwalu polskich filmów, które miało miejsce 28 października w Austin Film Society. Najpierw goście mogli uraczyć się przepysznym polskim jedzeniem, przygotowanym przez Apolonia Catering. Firma Joanny Gonczar nigdy nie zawodzi. Podczas reception rozmowom nie było końca, wiele osób mieszkających w Austin przez

pandemię nie widziało się od trzech lat. Przyjechały też osoby z Dallas, z San Antonio i z jeszcze bardziej odległych zakątków Teksasu. Ktoś powiedział, że jechał do Austin ponad 5 godzin w jedną stronę.

*Z Margaret Meub – prezydent Austin Polish Society rozmawia
Joanna Sokołowska-Gwizdka*

Festiwal otworzyła prezydent Austin Polish Society – Margaret Meub, a imprezę prowadził krytyk filmowy z Chicago – Zbigniew Banaś.

Na rozpoczęcie Festiwalu zaplanowany został film „Ach, śpij kochanie” o seryjnym mordercy z Krakowa Władysławie Mazurkiewczu, który „działał” w latach 50. W okresie Halloween, kiedy domy są „udekorowane” grobami, kościotrupami i wisielcami, w czasie strachów i horrorów, ten film wydawał się jak najbardziej odpowiedni. Projekcję zaszczylił reżyser filmu Krzysztof Lang, który odpowiadał po filmie na pytania widzów.



Paweł Wysoczański



Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

Program festiwalu był zróżnicowany. Można było zobaczyć i komedie i dramaty, filmy dokumentalne i krótkometrażowe, pokazujące różne okresy w polskiej historii i dotyczące różnych tematów. Dużym powodzeniem cieszył się film „Sonata” opowiadający historię Grzegorza Płonki, utalentowanego muzycznie chłopca z wadą słuchu. Chętnie oglądano też filmy

biograficzne „Bodo” czy „Marusarz”, a także filmy dokumentalne „Maryla. Tak kochałam” o Maryli Rodowicza, czy „Chopin. Nie boję się ciemności”. Salwy śmiechu wzbudziła komedia „Czarna owca”. Podczas festiwalu widzowie mogli więc nie tylko zaznać rozrywki, ale i wiele dowiedzieć się o Polsce, jej historii i tego, co jej dotyczy.

Innym gościem, który przyjechał na Festiwal w Austin był reżyser Paweł Wysoczański. Jego film dokumentalny „Jutro czeka nas długi dzień” o Helenie Pyz, lekarce, która sama będąc na wózku inwalidzkim od ponad 30 lat leczy trędowatych w Indiach, wzbudził duże zainteresowanie. Paweł Wysoczański miał też prezentację na Uniwersytecie w Austin, na wydziale radiowo-telewizyjnym na temat prawdy i fikcji w filmie dokumentalnym. Jego wystąpienie cieszyło się dużym zainteresowaniem studentów.

Fotografie: Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka

*

W E R N I S A Ź



Joanna Sokołowska-Gwizdka przed wejściem do Galerii AO5



Organizatorka wystawy Joanna Gutt-Lehr (DotDotDot Connect)
na tle plakatów Leszka Żebrowskiego



W Galerii AO5



Od lewej: Joanna Sokołowska-Gwizdka, Anna Hand, Joanna Gutt-Lehr



Plakaty Leszka Żebrowskiego



17 FESTIWAL POLSKICH FILMÓW W AUSTIN



Austin Film Society Cinema, Kris Knap i Annette Orlikowski podczas rozpoczęcia festiwalu



Polski poczęstunek przygotowany przez Apolonia Catering



Otwarcie Festiwalu



Paweł Wysoczański odpowiada na pytania po projekcji swojego filmu



Zbigniew Banaś, prowadzący festiwal



Joanna Sokołowska-Gwizdka przy plakacie projektu Andrzeja Pągowskiego



Zobacz też:

Najważniejsza jest historia

Polska Matka Teresa

Listopad świąteczny i waleczny



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Jedno z ludowych przysłów polskich głosi: „W listopadzie liście opadają, a ludzie znicze na grobach stawiają”. Właśnie. Liście opadają. Przypominają mi się ostatnie słowa Staszka Grochowiaka, powtórzone mi przez Jego Małżonkę w dziesiątą rocznicę zgonu poety. Były to słowa: „Wkrótce odejdę gdzieś w dalekie strony...”, potem znów: „...jak liść wiatrem zmieciony”. W tę właśnie dziesiątą rocznicę zorganizowaliśmy w jego rodzinnym mieście, Lesznie Wielkopolskim konferencję naukową, a wieczorem z udziałem mamy poety mieliśmy rodzaj stypy. Można ten niezwykle wieczór nazwać pogłosem Mickiewiczowych

„dziadów”, z tradycyjnymi „wypominkami”, wspomnieniami, zamyśleniami, zapalaniem świeczek czy lampek. To mi zostało w pamięci, bo wiązało się ze szczególnym nastrojem, jaki przeżywałem każdego roku w rodzinnym domu w Święto Zmarłych i w Dzień Zaduszny. Od lat młodszych natomiast owe nastroje listopadowego czasu były wzbogacane Wyspiańskim, który akcje swojego arcydzieła lokował w jesiennych Łazienkach Królewskich.

W dramacie Wyspiańskiego „Noc listopadowa” sprawą naczelną staje się myśl o sposobach dochodzenia do niepodległej Polski. Klęska zrywu powstańczego 1830 roku nie oznacza usunięcia Ojczyzny z mapy Europy na stałe, bo – takie padają słowa – „umierać musi, co ma żyć”. To mitologiczna Kora wypowiada do swej matki Demeter wieszczce słowa, że w miejsce opadłych brązowych listopadowych liści zjawia się nowe, zielone:

Gdy więzy śmierci skruszę

i zielen pędów nowych rzucę

na niwy, łęgi na zagony –

o matko, Bogów godna praca! –

Sposobić każ lemiesz, brony...

„Noc listopadowa” była ważnym utworem w naszej narodowej skarbnicy słowa artystycznego. Wielekroć do niego nawiązywano. Dość przypomnieć Ernesta Brylla „Rzecz listopadową” (1968).



Wojciech Kossak, Noc Listopadowa, fot. wikimedia commons

Wieszczenia Kory spełniły się. Oto po wielomiesięcznym internowaniu w niemieckiej twierdzy w Magdeburgu 10 listopada 1918 roku pojawia się w Warszawie legendarny już człowiek, Komendant Józef Piłsudski, by w dniu następnym przejąć z rąk Rady Regencyjnej władzę i zostać Tymczasowym Naczelnikiem Państwa Polskiego. Parę dni później już jako Naczelnik Państwa wysyła szyfrówkę do państw świata

ogłaszając uroczyście restytucję Niepodległej Rzeczypospolitej. Radość z odzyskania niepodległości manifestowali polscy poeci nazywający się później skamandrytami. 29 listopada 1918 roku założyli klub literacki „Pod Picadorem”. Odchodzili od problematyki martyrologicznej, głosząc radość idącą z „wiosny i wina” – jak to ujmował w poetyckim słowie Kazimierz Wierzyński. Aż dziwne, że ludzie typu Lechonia, Tuwima, Słonimskiego w chłodnym zazwyczaj listopadzie myśleli o wiosnie. Ludzie z rzeczywistości rustykalnej żyli na ziemi i liczyli się z przysłowiami, które albo radowały, albo groziły:

„Grzmot listopada dużo zboża zapowiada”; „W listopadzie goło w sadzie”; „W listopadzie wielka lichota, zalewa po drogach błota”; „Po Wszystkich Świętych słota, przez cały miesiąc błota”; „Po Wszystkich Świętych, gdy się deszcz rozpada, może słota dotrzymać aż do końca listopada”; „W listopadzie kobieciny przędą swe kądziele, a co święto, co niedzielę, brzęczy gdzieś wesele”; „Gdy w listopadzie liść na szczytach drzew trzyma, to w maju na nowe liście spadnie jeszcze zima”; „W listopadzie jak na autostradzie”; „Jadwiga bez deszczu i chmury, listopad zimny i ponury”; „Jak listopad ciepły, marzec mrozem przewlekły”; „Gdy listopad mroźny, to lipiec nie groźny”; „Gdy w listopadzie grzmi, rolnik dobrze śni”.

Jan Brzechwa w wierszu *Listopad* z dobrym skutkiem tworzył nostalgiczny nastrój jesieni:

Złote, żółte i czerwone

Opadają liście z drzew,

Złote liście w obcą stronę

Pozanosił wiatru wiew.

[...]

W mokrych cieniach listopada

Może ktoś zabłąkał się?

Nie, to tylko pies zajada.

Pomyśl także i o psie.

Z licznych szkolnych wieczorków rocznicowych przychodzą do nas po latach strofy listopadowych wierszyków:

Dzisiaj wielka jest rocznica,

Jedenasty listopada.

Tym, co zmarli za ojczyznę,

Hołd wdzięczności Polska składa...

Synowa Wyspiańskiego, Leokadia (zob. „Śpiący Staś”) 10 stycznia 2007 roku mówiła mi w katowickim Teatrze, że jeszcze jako uczennica jednego z krakowskich liceów w którąś z rocznic 11 Listopada z wielkim przejęciem recytowała na akademii fragmenty „Wyzwolenia” swojego przyszłego teścia. Listopadowe święto wrosło w świadomość całych pokoleń Polaków w Kraju i za jego granicami...

Listopad, niby to dość ponury miesiąc, ale kończy się radośnie – Andrzejkami, obrosniętego dobrymi wróżbami i całą wspaniałą, barwną ludową obrzędowością. Jest to dzień dla mnie szczególnie ważny. Jestem synem Andrzeja, ojcem Andrzeja; sam zaś mam drugie imię – Andrzej.



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

Październikowy gwiazdociąg

Patataj, o patataj

Kobieca, zalotna i szalona w życiu prywatnym, a na scenie odważna, ekstrawagancka, nie bojąca się artystycznych eksperymentów, czy kontrowersyjnych kostiumów. To Maryla Rodowicz, o której powstał film dokumentalny.



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski

Bożena U. Zaremba *(Floryda)*

Zwróciła na siebie uwagę zdobywając pierwszą nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie w 1967, po czym szturmem zdobyła polską estradę przebojem „Małgośka”, za który na 13. Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie (1973) otrzymała Grand Prix du Disque oraz nagrodę publiczności. Maryla Rodowicz od tego czasu nagrała około 2 tys. piosenek, z których dziesiątki, a może nawet i setki stały się

przebojami śpiewanymi przez całą Polskę. Oprócz jej charyzmatycznej osobowości scenicznej do jej sukcesu przyczynili się także wspaniali tekściarze i kompozytorzy, z którymi przez wiele lat współpracowała: Katarzyna Gärtner, Agnieszka Osiecka, Ernest Bryll, Seweryn Krajewski, Magdalena Czapieńska czy Katarzyna Nosowska.

Film dokumentalny „Maryla. Tak kochałam” wprowadza nas w jej prywatne życie, skupiając się na najbardziej znanych związkach z mężczyznami, których zapamiętała kochała, choć żadnego z nich nie była w stanie, czy też nie chciała zatrzymać na zawsze. Najpierw był cudzoziemiec, taki „na jej gust”, choć „nie z Cheetaway, nie z Syracuse”, ale jak to bywa w związkach na odległość, nie przetrwał ciągłego jeżdżenia tam i z powrotem. Wtedy pojawił się znany aktor, który zaimponował jej wspaniałymi umiejętnościami jazdy konnej. Romans z rajdowcem samochodowym, znanym w PRL-u jako „czerwony książę”, był głośny, ale krótki. Rodowicz, podatna na męski czar, uległa potem diabelsko przeszywającemu wzrokowi krakowskiego reżysera teatralnego. I „choć tyle się zdarzyło, to do przodu wciąż wyrywa głupie serce” i związała się potem na długo z pewnym biznesmanem. Jednak jej niespokojna dusza i całkowite oddanie się karierze przeszkodziły w jakiejś tam stabilizacji i spowodowały rozpad długotrwałego małżeństwa. Rodowicz opowiada o tych relacjach w sposób otwarty i szczery. Czy ten obraz jest jednak pełny? Wydaje się, że pewne sprawy zostały

przemilczane albo z filmu wycięte. Niektóre przytoczone historie nie zgadzają się też z ogólnie dostępnymi informacjami. Czy ten obraz jest więc prawdziwy? To jest w końcu jej punkt widzenia. Występują co prawda jej dwaj byli partnerzy, ale są dżentelmenami i starają się być dyplomatyczni, a brakuje głosu trzech pozostałych – podobno jeden się nie zgodził na udział w filmie, drugiego nie zaproszono, a trzeci wycofał się w ostatniej chwili. Być może też artystka chciała zachować pełną kontrolę nad ciągle tworzonym przez siebie *image*. Z niektórych wypowiedzi osób pokazanych w filmie można jedynie snuć domysły co do drugiej strony medalu.



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski

Tytułowe „Tak kochałam” nie wydaje się odnosić jednak wyłącznie do tematu prywatnych związków artystki. Między wierszami, między kadrami filmu rysuje się jeszcze inna strona miłości Maryli Rodowicz – miłość do piosenki, do sceny, do publiczności, do ciągłego tworzenia sztuki i tworzenia siebie. Poznajemy więc, choć stosunkowo powierzchownie, kulisy jej artystycznej współpracy z dwoma wybitnymi artystkami – poetką

i kompozytorką, z którymi stworzyły „trio blond” i tak niezapomniane przeboje, jak „Małgośka” czy „Trzeba mi wielkiej wody”. Pojawia się anegdotyczna historia o scenicznej konkurencji Maryli Rodowicz z inną znaną piosenkarką. Jest także rozmowa z kostiumolożką, która tworzyła przez wiele lat prowokacyjne, ekscentryczne kreacje sceniczne piosenkarki.

Twórcy filmu, Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski, opowiadają historię Maryli Rodowicz stosując tradycyjny, chronologiczny sposób narracji: od narodzin w Zielonej Górze, dokąd jej rodzice zostali przesiedleni z Wilna, poprzez pierwsze sukcesy, kilkudziesięcioletnią karierę, historie kolejnych życiowych partnerów, aż po czasy współczesne. To wszystko na tle obrazów przede wszystkim z lat PRL-u. Dla tych, którzy żyli w tamtych czasach i je dobrze pamiętają to podróż sentymentalna w świat spódnic bananowych, Fiata 125p i Malucha, festiwali piosenki i piłkarskiego szaleństwa. Młode pokolenie ma okazję posmakować tamtych klimatów, z dala od tzw. wielkiej polityki. Bo ta mała gdzieś się tam przewija, chociażby w historyjce o pewnym liście protestacyjnym, w anegdocie o polskim polityku, który usilnie próbował wyciągnąć od piosenkarki numer jej telefonu, czy relacji z podróży do tzw. „demoludów” (zdjęcie z komunistycznym przywódcą zza oceanu, zaglądającego w dekolt gwiazdy to istna perełka).



„Maryla. Tak kochałam”, reż. Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski

Kobieca, zalotna i szalona w życiu prywatnym, a na scenie odważna, ekstrawagancka, nie bojąca się artystycznych eksperymentów, czy kontrowersyjnych kostiumów, z kiczu tworzyła często atut. Ale nie chciała „skosztować tak zwanej życiowej mądrości” i twierdzi, że uczenie się na błędach jest nudne. Czy więc Rodowicz naśladowała teksty swoich piosenek i wprowadzała je w swoje życie, czy też autorki tekstów znały ją na tyle dobrze, żeby inspirować się jej życiem? Może trochę i jedno, i drugie, w każdym razie to właśnie jej piosenki wydają się

być najlepszym tego życia komentarzem. I chociaż stroje się zmieniały, długie blond włosy i opadająca na oczy grzywka pozostały niezmiennie. „Dla nas diabeł, dla nas raj, patataj, o patataj, dla nas anioł, dla nas maj, patataj, o patataj...”.

*

Więcej informacji na temat festiwalu:

<https://www.austinpolishfilm.com/>

*

Zobacz też:

Muzyka na ten świat?